

Bitwa pod Osuchami

Bitwa, która znana jest szczególnie mieszkańcom Zamojszczyzny była największą poza powstaniem Warszawskim bitwą partyzancką w okupowanej Polsce. Świadczy o tym niespotykana w żadnych z innych bitew ilość użytych ze strony niemieckiej sił- około 30.000 żołnierzy. Po raz pierwszy użyto nie tylko jednostki policyjne, ale także regularne wojska frontowe. W bitwie tej mającej niemiecki kryptonim STURMWIND II, brały udział dywizje Wehrmachtu: 154-ta pod dowództwem gen. Arlichtera, 174-ta gen. Eberhardta i 213-ta gen. Goeschena. Oprócz tego 4 pułk szkoleniowy, 318 pułk ochrony, 4 pułk policji, wydzielona z 4-tej floty powietrznej grupa zwiadowczo-bombowa i artyleria. Całością dowodził gen. Haenicke dowódca Okręgu Wojskowego Generalnej Guberni. Niemcy mieli za zadanie oczyszczenie z partyzantów dróg zaopatrzenia swoich wojsk i całego zaplecza zbliżającego się frontu.

Niestety nie ma do dzisiaj kompleksowego, naukowego opracowania historii tej bitwy- zdecydowana większość to wspomnienia jej uczestników. Nieliczne publikacje nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Była to celowa, ohydna propaganda władz PRL, która powtarzała w prasie i radiu bardzo głośno i często o nieudolności „londyńskich” oficerów, którzy dowodzili bitwą ze strony polskiej. Także usłudni historycy w różnych artykułach i opracowaniach pisali o niej tylko źle. To o nich wszystkich Konrad Bartoszewski ps. „Wir” wybitny dowódca oddziału partyzanckiego, dowodzący ostatnią fazą bitwy pod Osuchami pisał w swoich wspomnieniach: „Niestety, większość publikacji nie grzeszy ani znajomością faktów, ani obiektywizmem, ani wreszcie zrozumieniem specyficznego klimatu towarzyszącego działaniom partyzanckim. Stąd też niejednokrotnie muszą razić propagandowe, naiwne cenzurki i równie propagandowe naiwne uogólnienia i wnioski”.

Trzeba przypomnieć, że w kilka miesięcy po tej bitwie Armia Krajowa została nazwana przez władze PRL „zapłutym karłem reakcji” a sama bitwa pod Osuchami została w masowych środkach przekazów ”zapomniana” i to zapomnienie z niewielkimi wyjątkami ciągnie się do dzisiaj.

Ze strony polskiej bitwą dowodził szef Zamojskiego Inspektoratu AK (obwody Zamość, Biłgoraj, Tomaszów Lubelski i Hrubieszów) mjr Edward Markiewicz „Kalina”, który w tej bitwie poległ. Po śmierci „Kaliny” dowodzenie przejął z-ca Inspektora Mieczysław Rakoczy „Miecz” i natychmiast przekazał je Konradowi Bartoszewskiemu ps. „Wir” najlepiej znającemu tereny walk.

Bitwa pod Osuchami trwała od 21 do 25 czerwca 1944 r. Niemcy utworzyli duży pierścień wokół Puszczy Solskiej, w którym znalazły się nasze oddziały partyzanckie przygotowując się do „Acji Burza”. W pierwszym dniu okrążenie ciągnęło się linią od Zwierzyńca poprzez Biłgoraj, Tarnogród, Susiec, Krasnobród z powrotem do Zwierzyńca. W następnych dniach niemiecki „walec” ruszył do przodu, zacieśniając pierścień i spychając nasze oddziały w kierunku południowym na bagna Aleksandrowa i Osuch, do coraz mniejszej przestrzeni. Wreszcie przestrzeń ta była tak mała, że dowództwo oddziałów podjęło decyzję przebijania się przez niemiecki pierścień koło wsi Osuchy. W czasie przebijania się oddziały poniosły dotkliwe straty. Zginęło ponad 35% partyzantów, część padła w boju, część zginęła podczas trwającego kilka dni przeczesywania terenu przez ekipy wojsk niemieckich wyposażonych w psy. Były to straty tak wysokie, że bitwę trzeba uznać za klęskę.

Trudno wymienić jedną przyczynę tej klęski, było ich kilka. Najważniejsza to ogromna przewaga Niemców- 1.000 partyzantów do 30.000 żołnierzy niemieckich uzbrojonych w czołgi, artylerię, samoloty itp. Drugą przyczyną, wg mnie bardzo ważną, to wyszkolenie oddziałów partyzanckich. Nigdy nie miały one możliwości przeciwiczenia działań w dużym zgrupowaniu i to w nocy, w ogromnych nieznanach lasach. W Osuchach, w trakcie podejścia nocą pod linie niemieckie niektóre oddziały straciły łączność między sobą- można powiedzieć, że pogubiły się w lesie. W miejscu wskazanym do przebijania się przez „Wira” znalazła się mniejszość oddziałów i ta przeszła z mniejszymi stratami. Większość przebijala się chaotycznie około kilometra dalej mając do przebycia kilkaset metrów odkrytego terenu.

Dla wielu dyskusyjna była też koncepcja bitwy opracowana przez jej dowódcę mjr „Kalinę”, polegająca na taktyce „miękkiego ustępowania”, której podłożem były poniższe wydarzenia:

Wcześniej, w dniu 9-14.06.1944 Niemcy wszystkimi wymienionymi powyżej siłami otoczyli znajdujące się w lasach Janowskich, liczące ponad 2.000 ludzi zgrupowanie radzieckich partyzantów. Zgrupowanie to natychmiast uderzyło na zamykający je wrogi pierścień i wyrwało się z niego.

Niemcy z wściekłości za niepowodzenie akcji nazwanej przez nich STURMWIND I dokonali pacyfikacji okolicznych wiosek zabijając ponad 100 jej mieszkańców a ponad 4.000 wywieziono do obozu w Biłgoraju.

Ta gehenna ludności cywilnej miała wpływ na koncepcję mjr „Kaliny”. Można jednak przytoczyć pogląd „Wira”, który pisze w swoich wspomnieniach: „Tragiczny finał i wysokość strat były konsekwencją błędnej, choć wynikającej ze szlachetnych intencji decyzji pozostawania w kotle”. Te gorzkie słowa wypowiada człowiek, który przeżył wstrząs widząc na własne oczy zabitych młodych chłopców, których znał po imieniu, których matki i ojcowie powierzyli mu pod opiekę, a który ich nie ustrzegł.

Niestety już nigdy nie dowiemy się, czy przyjęta taktyka dowódcy zgrupowania naszych oddziałów partyzanckich była słuszna, czy nie. Możemy jedynie domniemywać, że gdyby wojska niemieckie nie osiągnęłyby celu, do jakiego zostały przeznaczone, to i tak z całą pewnością zameldowałyby swoim przełożonym o osiągnięciu sukcesu- zlikwidowaniu iluś tam „bandytów” poprzez wymordowanie ludność okolicznych miejscowości.

Różni autorzy podają różne wielkości strat, jakie ponieśli partyzanci:

oddział	przynależność	stan	poległo
„Wojny”	AK	100	42
„Topoli”	AK	100	67
„Skrzypka”	AK	60	30
„Corda”	AK	200	74
„Vira”	AK	141	20
„Korczaka”	BCh	29	16
„Rysia”	BCh	300	76
„Burzy”	BCh	60	30
„Błyskawicy”	BCh	50	20
Razem		1040	375

Powyższe dane podaje Jerzey Józwiakowski z którego niektórych opracowań korzystałem.

Poniżej wspomnienia mojego ciotecznego brata Adama Kapeckiego ps. „Tęcza” jednego z uczestników tej bitwy spisane „na gorąco”:

„Na początku czerwca 1944 r. wysłał mnie komendant placówki Kawka na specjalny kurs łączności i radiotelegrafistów. Ze skierowaniem udałem się przez gajówkę Krzywe do Bondyrza, gdzie był punk zborny kandydatów na kurs. W sobotę 10 czerwca pod dowództwem ppor. Watta wyruszyliśmy z Bondyrza. Trzema furmankami jechaliśmy śpiewając w kierunku obozu por. Woyny, położonego koło gajówki Za Oknem przy drodze Aleksandrów — Tereszpol w lasach wśród bagnistych terenów. Przybyliśmy do obozu przed wieczorem. Zastaliśmy tu małą grupę kolegów partyzantów. Był to pluton szturmowy, który sprawił na nas dodatnie wrażenie. Wszyscy żołnierze byli umundurowani w angielskie ubrania zrzutowe, broń mieli tylko maszynową. Na noc zakwaterowano nas w poniemieckim baraku.

Nazajutrz o godzinie 7 rano pobudka i zbiórka do apelu. Po modlitwie podzielono nowoprzybyłych na dwie grupy- plutony, które potem uzupełniano w miarę przybywania nowych uczestników kursu z innych rejonów. Po śniadaniu każdy z nas otrzymał angielski mundur i kamasze wojskowe, po czym przystąpiliśmy do budowy baraków. Materiał do nich mieliśmy gotowy, gdyż zawczasu przywieziono w pobliże obozu baraki poniemieckie spod Zwierzyńca.

Po skompletowaniu tworzyliśmy jedną kompanię reprezentacyjną, sztabową, inspektora mjr Kaliny w sile około 100 ludzi. Komendantem kompanii był por. Woyna¹), dowódcą I plutonu »S« (szturmowego) ppor. Boryna²), II plutonu »Ł« (łączności), do którego i ja należałem, - ppor. Bej, III plutonu »R« (radiotelegrafistów) przy znajdującej się tu radiostacji — ppor. Watt³). Magazynierem był ppor. Tom. Prócz tego znajdował się w obozie patrol BIP'u pod dowództwem Kalifa⁴), który przed tygodniem przybył z Warszawy.

Rozdział dnia w obozie był następujący: rano o godz. 7 pobudka, po której ubrani tylko do pasa biegiem pędziliśmy na plac zbiórki na pobliskiej łące. Potem następowały kolejno: apel, modlitwa, przeczytanie rozkazu dziennego, gimnastyka poranna i mycie się w przepływającej obok rzeczulce. Po śniadaniu o godz. 8-iej szliśmy do swoich zajęć. O godz. 12-iej obiad z jednogodzinną przerwą obiadową i znów nauka i ćwiczenia.

O godz. 7 wieczorem kolacja, potem apel wieczorny, modlitwa i po odśpiewaniu »Wszystkie nasze dzienne sprawy« rozchodziliśmy się do swoich baraków. Po godzinie 9-iej w obozie zalegała cisza.

Zorganizowana była też i służba wartownicza. Wystawiano dwa posterunki w przeciwnych stronach, w odległości 1,5 km od obozu, z którym było połączenie telefoniczne. Wartownicy zmieniali się co dwie godziny. W obozie pełnił służbę podoficer służbowy. Uzbrojenie i umundurowanie wciąż jeszcze kompletowano. Krawcowe, które znajdowały się w obozie, szyły dla nas czapki wojskowe — furażerki albo polówki. Następnie każdy otrzymał hełm polski, którego noszenie, szczególnie na warcie, było obowiązkowe.

Zajęcia z łączności przeplatane były wykładami o broni i ćwiczeniami polowymi całej kompanii.

Przychodziły meldunki do majora Kaliny o akcji niemieckiej w powiecie Janowskim, a następnie koło Bondyrza. W obozie naszym podwojono czujność. Wzmocniono posterunki wartownicze, stworzono patrole lotne, a co noc jeden z plutonów na zmianę był plutonem służbowym, którego żołnierze spali w

pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu, w każdej chwili gotowi w razie alarmu wartowników odeprzeć lub powstrzymać atak nieprzyjaciela.

Obok naszego obozu znajdował się jeszcze szpital leśny zorganizowany przez obwód biłgorajski, obóz „Wira”, a koło Tereszpoła obóz ppor. „Topoli”. W środę 21 czerwca po południu wyruszyliśmy całą kompanią na ćwiczenia polowe, mieliśmy mianowicie wypróbować t. zw. piaty. Strzelaliśmy z odległości 100 metrów w komin spalonej gajówki Za Oknem. Wracając z tych ćwiczeń zauważyliśmy na drodze od Tereszpoła dwóch jeźdźców szybko jadących w naszym kierunku. Byli to gońcy od „Topoli”. Stawili się oni przed będącym z nami majorem „Kaliną” i zameldowali mu, że Niemcy są w Tereszpolu i idą na las. Gońcy otrzymawszy rozkazy dla ppor. „Topoli” odjechali, a myśmy wrócili do obozu, gdzie wszczął się gorączkowy ruch. Major pisał rozkazy i przez gońców rozsyłał je do pobliskich oddziałów. Nam uzupełniono broń i amunicję, zastąpiono kabeki Schmeiserami, rozdzielono granaty i opatrunki osobiste, przydzielono do poszczególnych plutonów LKM-y i piaty*. Następnie szef Łącznikowski zapowiedział zbiórkę całej kompanii gotowej do drogi w pełnym uzbrojeniu i umundurowaniu. Po raporcie w kilku twardych, żołnierskich słowach przemówił do nas mjr Kalina, objaśniając wytworzoną sytuację. Pierwszym naszym zadaniem będzie rozbicie niespodziewanym napadem Niemców w Tereszpolu. Punkt zborny dla wszystkich oddziałów wyznaczono koło jeziora pod Tereszpołem. Przed wieczorem wyruszyliśmy w kierunku punktu zbornego- pozostała część naszych ludzi jako ochrona obozu.

Nad lasem krążył niemiecki samolot wywiadowczy, oświetlając teren rakietami. Na miejsce przybyliśmy około północy. Zastaliśmy już tutaj inne oddziały. Uzbrojenie mają one gorsze od nas, większość kabeki. Umundurowanie nie jest jednolite, lecz kombinowane. Spotykają się mundury polskie, niemieckie i ubrania cywilne. Nastrój wśród żołnierzy dość beztronski.

Major wezwał wszystkich dowódców i oficerów na odprawę. Po odprawie pada rozkaz: »maszerować!« Sądzymy, że na Niemców, lecz wkrótce i poznajemy drogę nie na Tereszpol, ale powrotną do obozu. Jak się okazało, major wydał rozkaz powrotu wszystkim oddziałom do swoich obozów i czekania na dalsze zarządzenia, dlatego że ludność cywilna z Tereszpoła i pobliskich wiosek nie zdołała zbiec ani się ukryć i w razie naszej akcji zaczepnej ucierpiałaby bardzo i głównie na nią spadłyby represje niemieckie. Przemęczeni wróciliśmy do obozu około 4 rano 22. VI. i ułożyliśmy się do snu.

Już o godzinie 6 pobudka i śniadanie. Ładujemy na wozy najpotrzebniejsze nam rzeczy jak amunicja i żywność, to czego nie możemy zabrać chowamy i zakopujemy. Załadowaliśmy zaledwie dwa wozy, gdy naraz od strony naszej wartowni usłyszeliśmy strzały. Odróżniliśmy serie z naszego LKM-u i z nieprzyjacielskiej broni maszynowej.

Następnie obóz nasz został obsypany gradem pocisków z granatników. Powstało pewne zamieszanie. Por. Woyna w porozumieniu z majorem zdecydował się nie przyjmować walki, lecz wycofać się w kierunku obozu Wira.

Jeden pluton z naszej kompanii, który w pierwszej chwili pośpieszył z pomocą wartownikom, osłaniał teraz odwrót. Niemcy zostali chwilowo odparci, myśmy zaś wycofali się szczęśliwie, mając tylko paru rannych.

W obozie Wira skoncentrowały się wszystkie oddziały. Cała nasza grupa liczyła teraz około 1000 ludzi. Tabor składał się z przeszło 20 parokonnych wozów.

Znalazło się wśród nas i kilkunastu żołnierzy od Podkowy. Zostali oni zaskoczeni przez Niemców podczas kąpieli koło Bondyrza i nie mogąc przedostać się do swojego oddziału, wycofali się w lasy i później przyłączyli do nas. Zeznania ich i innych ludzi zbiegłych z okolicznych wiosek utwierdziły nas w przekonaniu, że jesteśmy otoczeni i to przez dość znaczne, przeważające siły niemieckie. Dlatego teraz wyruszamy, by znaleźć możliwie najśłabsze miejsce i śmiałym atakiem przedrzeć się przez okrążających nas Niemców. Naokoło słychać kanonadę artylerii niemieckiej. Nad lasem krążą niemieckie samoloty. Nad ranem zatrzymujemy się dla odpoczynku. Niedługo jednak odpoczywamy. Wraca jeden z naszych patroli i melduje o zbliżaniu się Niemców. Szykujemy się do ataku. Rozlegają się strzały- to nasze ubezpieczenie odstrzeliwując się cofa się pod naporem przeważającej siły. Niemcy są już tuż przed nami. Zatrzymujemy oddech, pada rozkaz dowódcy:

— Do ataku!

Podrywamy się i z głośnym »hurra« biegniemy. Zaczyna się bezładna strzelanina. Niemcy ustępują, a gdy uciekając zniknęli nam z oczu, dowództwo nasze w obawie przed zasadzką wydaje rozkaz cofnąć się. Mamy kilku rannych. Maszerujemy w przeciwnym kierunku.

Zatrzymujemy się nad jedną z rzeczek, których tutaj ze względu na bagnisty teren jest dość dużo. Lecz i tu postój nasz nie trwał długo. Usłyszeliśmy warkot motorów i wkrótce otrzymaliśmy meldunek o zbliżaniu się dwóch niemieckich czołgów. Obsługa z piatami wysuwa się naprzód. Podpuszczają czołgi na bliższą odległość i strzelają, lecz ze zdenerwowania niezbyt celnie. Niemcy oddają z czołgów kilka serii z CKM-ów i natychmiast wycofują się. Sądzymy, że po czołgach pójdzie do ataku niemiecka piechota. Okopujemy się i czekamy, lecz zamiast piechoty odzywa się artyleria. Pociski padają przed nami, rwą się obok nas lub z sykiem przelatują nad nami. Jest bardzo dużo niewypałów. Leżymy tak pod obstrzałem artylerii przez jakieś dwie godziny zupełnie bez strat, a Niemców nie widać. Lecz w końcu zaczynają nas »macać«, pada jeden, drugi, trzeci pocisk między nas. Nie ma sensu czekać dłużej, wycofujemy się więc dalej. W wędrownicy tej spotykamy również i partyzantów sowieckich.

Nie wiemy dlaczego dowództwo nasze zwleka z decydującym momentem przebicia się. Uważamy, że to niezdecydowanie jest dla nas szkodliwe, ponieważ pierścień otaczających nas wojsk coraz bardziej się zacieśnia, a tym samym skupiają się coraz większe siły nieprzyjacielskie. Odczuwamy brak żywności. Ciągłe marsze bardzo nas męczą. Artyleria niemiecka nie daje nam spokoju. Postój w jednym miejscu ponad pół godziny staje się niemożliwy. Tabor nasz silnie utrudnia marsz, W ogóle niemożliwe jest posuwać się bezszelestnie i niepostrzeżenie. Zdradza nas rzenie koni i skrzyp wozów. Dlatego w nocy z 23-go na 24-y decydujemy się rozbić nasze tabory i zostawić je. Zabieramy z wozów najpotrzebniejsze nam przedmioty i żywność. Konie puszczone swobodnie w las. Palimy archiwum inspektoratu. Rannych niesiemy teraz na zmianę na prowizorycznych noszach.

Podsuwamy się pod linie niemieckie. Zajmujemy stanowiska, maskujemy je. Mamy zamiar czekać aż Niemcy podejną do nas, niespodziewanie uderzyć i przebić się poza otaczające nas linie niemieckie. Nie udało się nam to jednak, ponieważ znów »wymacała« nas artyleria.

Takie niezdecydowane postępowanie majora denerwuje nas i niektórzy dowódcy oddziałów postanawiają przebijać się ze swoimi oddziałami na własną

rękę. Major Kalina na to nie zezwala. Zwołuje wszystkich dowódców na odprawę. Ostatecznie zdecydowano, że przebijamy się przez linie niemieckie pod Osuchami w nocy z soboty 24-go na niedzielę 25-go czerwca.

Maszerujemy kilka godzin. Zbliżyliśmy się pod stanowiska niemieckie zachowując wszelką ostrożność, jednak zauważono nas i oświetlono raketami. Zaczynają grać niemieckie CKM-y. Mkną ku nam chmary pocisków, w tym dużo świetlnych. Chociaż noc ciemna, robi się jasno jak w dzień.

Mój oddział znajduje się w środku maszerującej grupy. Przechodzimy przez drogę i wpadamy na miny. To nas na chwilę zatrzymuje, tracimy łączność z innymi oddziałami. Powstaje zamieszanie i nasza kompania rozpada się na szereg małych grup. Nie ma żadnego dowódcy. Co robić? Niemcy oświetlają nas raketami, kierują w naszą stronę ogień karabinów maszynowych. Nie wiemy, w którym kierunku udać się. Ostatecznie rozsypujemy się na bagna.

Ja i jeszcze kilku idziemy razem. Nad ranem spotykamy na bagnach majora Kalinę z kilkunastoma żołnierzami. Major przyłącza się do nas, jest głodny tak samo zresztą jak i my, pyta czy nie ma któryś z nas kawałka chleba, lecz niestety, żaden nie posiadał ani kawałeczka. Postanawiamy spróbować razem, może uda się nam przedrzeć.

Ruszamy. Wtem ktoś na nas zawołał. Oglądamy się i widzimy niedaleko kilkunastu naszych partyzantów. Major zapytuje »kto tam«? Jeden z nich odpowiada, że ten co stał na warcie. Major woła, żeby na niego zaczekano, on zaraz do nich przyjdzie. Wnioskujemy, że nie był zdecydowany z kim ma iść.

W którą stronę nie zwrócimy się, wszędzie strzały. Nie ma wyjścia z tej matni. Rozmawiając z Kaliną tytułujemy go jak zwykle »panie majorze«, lecz ten zwraca nam uwagę tymi słowami: Chłopcy, jak się spotkamy z Niemcami, nie mówcie do mnie panie majorze, tylko panie kapralu.

To nam się bardzo nie podobało, nie dopuszczaliśmy bowiem myśli o poddaniu się Niemcom do niewoli. Uważaliśmy, że spotkanie z nimi to śmierć ich lub nasza. I dlatego w krótkim czasie odłączyliśmy się od majora Kaliny.

Już się całkiem rozwidniło. Wstawał dzień, który miał zadecydować o naszym istnieniu. Postanowiliśmy ukryć się, przeczekać obławę niemiecką, a jeśli Bóg pozwoli przeżyć, wieczorem pójdziemy dalej. Chciałem schować się w pobliżu kolegi, lecz ten tak szybko ukrył się, że nie zorientowałem się, gdzie i w jaki sposób to zrobił. Na moje wołania nie odpowiadał. Byłem niezdecydowany, nie wiedziałem co robić i gdzie się ukryć. A odgłosy strzałów były coraz bliższe. Oddalając się od zbliżających się od tyłu Niemców pobiegłem w kierunku ich stałych pozycji. Biegłem przez moczary, co raz wpadając po pas w bagno, aż dostałem się na suchszy, bardziej zalesiony teren. Postanowiłem ukryć się tutaj. Początkowo pod gęstym krzakiem wygrzebałem wgłębienie, chciałem przykryć się liśćmi i mchem, lecz porzuciłem ten zamiar w obawie, że psy, które Niemcy mają ze sobą, wywęszą mnie. Ostatecznie wdrapałem się na wysoką jodłę. Po pewnym czasie, głodny i zmęczony, zdrzemnąłem się na drzewie.

Naraz zbudziły mnie jakieś krzyki. Nadśluchuję i słyszę wołania: Wojtek, Antek, koledzy, chodźcie, już nie ma nic, zbiórka!

Wychyłam się ostrożnie myśląc, że rzeczywiście Niemcy już odeszli i koledzy nawołują się nawzajem. Lecz był to tylko podstęp ze strony Niemców. Chcieli, by ktoś się odezwał.

Zamiast kolegów zobaczyłem dookoła Niemców idących fala za falą i dokładnie przeszukujących las. Cofnąłem się i zamarłem z przerażenia.

Uprzytomniłem sobie całą grozę mojego położenia. Wiedziałem, że w każdej chwili mogę być zauważony, a to oznaczało dla mnie śmierć. Przeniosłem się myślą do moich stron rodzinnych i ból ścisnął mi serce.

Mimo woli przymknąłem oczy. Nagle rozziewający krzyk przerwał mi tok mojej myśli. Spojrzałem w kierunku skąd dochodził i zobaczyłem rozbawionych żołnierzy niemieckich bijących dwie kobiety. Sylwetki przypominały mi nasze sanitariuszki, lecz nie mogłem ich poznać ze względu na dość dużą odległość.

Po jakimś czasie Niemcy oddalili się i słychać było już tylko przytłumione ich głosy. Posłyszałem szmer na pobliskim drzewie i ujrzałem zsuwającego się mężczyznę. Poszedłem za jego przykładem. Z kryjówek powychodziło dość dużo ludzi z sąsiednich wsi—kobiet, mężczyzn i dzieci oraz kilkunastu towarzyszy niedoli z naszej grupy. Był tu Zasuwa ze Szperówki, Szczupak z Suśca i jeszcze kilku znajomych.

Głodni kręciliśmy się szukając czegoś do zjedzenia. Dostaliśmy po kawałeczku chleba od tutejszych ludzi, ale i oni siedząc w ukryciu już kilka dni nie mieli go wiele. Pragnienie gasiliśmy pijąc mętną i mdłą wodę z bagna. Wtem ktoś krzyknął: — Obława, Niemcy idą!

Wszyscy się rozbiegli, ja popędziłem za jakimś tutejszym gospodarzem. Wpadł on w krzaki i znikł mi z oczu. Domyśliłem się, że musi mieć gdzieś kryjówkę. Szukam, ale na razie bez skutku. Przypadkowo tylko trąciłem niewielki świerk i spostrzegłem mały otwór. Nie namyślając się długo wcisnąłem się doń i uspokoiłem przestraszonego gospodarza. Był już najwyższy czas, gdyż Niemcy zbliżali się i wkrótce wstrzymując oddech usłyszeliśmy odgłos ich kroków.

W kryjówce tej przesiedzieliśmy całą noc. Zasnęliśmy dopiero nad ranem i obudziliśmy się dość późno. Już wszyscy powychodzili z ukrycia. Niemcy przeszli, tylko z daleka w sąsiedniej wiosce słychać było ich krzyki i śpiewy.

Znaleźliśmy w bagnie zastrzeloną krowę, każdy ukrajał dla siebie kawałek mięsa i piekł swoją porcję nad rozpalonym ogniskiem. Głodni nie czekaliśmy aż się dobrze upiecze, zjadaliśmy ze smakiem mięso twarde, na wpół surowe.

Rannym, który był między nami, zajęła się miejscowa ludność. Powoli zaczęli się wszyscy rozchodzić, każdy w swoim kierunku. Ja z kolegą z mojego plutonu Szczupakiem, który pochodził z okolic Suśca, udaliśmy się w tym kierunku. Jednak w połowie drogi Szczupak zorientował się, że zblądziliśmy i idziemy nie do Suśca, lecz na Józefów, postanowił więc wrócić, ja zaś pożegnawszy się z nim poszedłem dalej. Zrobiwszy kilka kilometrów zauważyłem starego wieśniaka pasącego krowy. Dowiedziałem się od niego, że w Suścu na stacji i w wiosce kwaterują Niemcy. W jakiejś chałupie w pobliżu lasu napiłem się trochę mleka i znów skierowałem się w głąb lasu. Zapadła noc. Uszedłem z kilometr, zaszyłem się w krzaki i zmęczony zasnąłem. Na drugi dzień rano zbudziło mnie dopiero przygrzewające słońce i śpiew ptaków. Zerwałem się i poszedłem dalej. Spotkałem w lesie również samotnie maszerującego kolegę z oddziału Topoli i razem doszliśmy do Majdanu Nepryskiego. Przestraszona ludność niezbyt chętnie udzielała nam schronienia. Skontaktowaliśmy się jednak z komendantem miejscowej placówki. Dowiedzieliśmy się, że w pobliżu znajduje się mała grupa kolegów, przyłączyliśmy się do nich i w nocy szczęśliwie przechodząc przez tor kolejowy

i szosę dostaliśmy się do Bondyrza. Stąd lasami przez Kosobudy i Krzywe dobrnąłem do domu”.

- 1) Por. Adam Haniewicz, poległ podczas opisywanej bitwy 25.VI.44**
 - 2) Ppor. Józef Wojciechowski z Rawy Ruskiej. Poległ w tejże bitwie.**
 - 3) Ppor. Suchożebrski, inżynier elektrotechnik z Pomorza. Poległ w tejże bitwie**
 - 4) Poległ w tejże bitwie.**
- (punkty 1—4 wg dr. Z. Klukowskiego).**

**RK--moje wyjaśnienia niektórych nazw broni: kabek od KB- karabin bojowy
Schmeisser--od nazwiska konstruktora--nazwa niemieckiego pistoletu
maszynowego, LKM- lekki karabin maszynowy, CKM- ciężki karabin
maszynowy, PIAT- angielska, zrzutowa rusznica przeciwpancerna.**